

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Tomasz Jastrun

Kropla, kropla

Copyright by Tomasz Jastrun
Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Przed nami

O zamkniętych oczach

Poeta nie ma odwagi
Ma za to strach
Drewnianą protezę
Która mieszka w jego ustach

Poeta milczy o
A
B
C
Przemyka się chyłkiem
Ulicami współczesności

Stoję w zamkniętym oku
Szarpie zatrzaśniętą powiekę

1978 r.

Przed nami

Czekają nas oddziały onkologiczne
I bałagan umierania
Czekają zatłoczone cmentarze
I bezładny pośpiech pogrzebów
Czeka nas długi rozkład
Gnicie ciała i wysychanie

To wszystko jest przed nami
Schowane za kwitnącymi kwiatami
Zakryte suknią i bluzką
Za uśmiechem i zielonymi oczami

Rocznik 1950

Szedłem w parze
Z kim nie pamiętam
Pytałem niepewny
Czy to jest moja klasa
Czy to pierwsza A

Niepokój łomocze w okna
Ktoś krzyczy
Z granic 1957 uciekli strażnicy

To wtedy umarł nagle młody poeta
Już psuł się na słońcu
Zeszłoroczny październik

Tam gdzie leży 1957
Stoją na warcie nowi strażnicy
Z dyplomami wydziałów historii

Walę pięściami do wszystkich drzwi
Wychyla się woźny i krzyczy
Tylko 1973 otwarty

Warszawa, 1973 rok

Co robić

Jeżeli mają jeszcze twarze
Chować je w dłoniach

Jeżeli mają jeszcze serca
Zapamiętać ich bicie

Jeżeli są jeszcze słowa
Które znaczą
Zapalać je nocą
I podawać jak pochodnie

Jeżeli ocalała
Gdzieś nadzieja
Pielęgnować ją
Jak w surowym klimacie
Pielęgnuje się
Egzotyczne rośliny

1979 r.

Róża

Grudki czasu pomiędzy palcami
W oknie Stegny i Ursynów
Mdły zarys przyszłych cmentarzy
Przed domem dogorywa mój samochód
Wiatr szarpie niedorozwinięte drzewa
Siedzę przy biurku
Piszę wiersz który nie chce żyć
Ślepy smutek z wybitymi zębami
Grudki czasu pomiędzy palcami

I kwitnie nade mną
Przerażający kwiat
Dzikiem róży
Wszechświata

Ziarno

Ptaki
Lecą w głąb naszego istnienia
Przerażone
Składają i rozkładają
Skrzydła

Ptaki
Lecą gasnącym korytarzem

Śmiertelnie zmęczone
Siadają nam na ramieniu
Są głodne

Nasze dłonie już puste
Ziarno
Jest w oczach i ustach

Właściciele ogródków

Ostatnia wojna
Użyźniła ziemię w ogródku
Który pielęgnuje
Okrutny fryzjer na emeryturze
Podcina różom żyły
I morduje mszyce
Zmęczony opiera się
Na narzędziach tortur
I poprzez kraty ogrodzenia
Patrzy i nasłuchuje
Czy już nie czas
Przyłączyć do swojego ogródka
Cały świat

A wokół stoją
Za kratami swoich ogrodów
Równie czujni i żarłoczni
Sąsiedzi
Młodzi i starzy
Oprawcy myśli i roślin

Więzienie na wyspie

Jedyne co masz
Na usprawiedliwienie
To czas
Ale nikt nie weźmie tego pod uwagę
Wtrąca cię w starość
Z której nikt jeszcze nie uciekł
Na odległej wyspie
Otoczonej pomarszczonym morzem
Spotkasz tam tych
Którzy ocalili z twojego pokolenia
Niedobitków rewolucji technicznej
Przeegrali wszyscy
I chodzą teraz w błędnym kole
Na coraz krótsze spaceru

Droga

Pobliską drogą ocienioną drzewami
Przejechał powóz
Jadący w nim podróżny
W czarnym cylindrze na głowie
Z binoklem przy oku
Zobaczył biały dom
W otwartym oknie widniał
Stół na nim owoce i wino
Kobiety były w białych sukniach
Mężczyźni palili cygara
Przed gankiem dzieci łapały motyle
Było to o zmierzchu
W środku XIX wieku

Nie wiadomo gdzie zajechał powóz
I co się stało z domem i ludźmi
Gdy zapadł mrok
I nadszedł koniec wieku
Jego siny brzeg
Lśni w łunie pożarów
I widać drogę jak strzełił
Przerąbaną aż do dzisiaj
Z uschniętymi po bokach drzewami

Ulica

– Czytałem pana wiersze
To prawdziwa poezja –
Mówił ze smutkiem
Był starym pisarzem
I wiedział co mnie czeka

Uścisnąłem mu serdecznie dłoń
I odszedłem
Życzliwą ulicą jego spojrzenia
Aleją drzew które schły
I domów ze ślepnącymi oknami

Wkrótce potem umarł
Została po nim pusta ulica
Którą czasami przemykam się
Z tężącym wierszem w ustach
I z jego śmiercią
Jak z rysiem na karku

Samoobrona

Cudze nieszczęścia
Są jak długie mroczne korytarze
Za drzwiami słysząc
Płacz i krzyk
A my idziemy szybko
Zakrywając twarze

Nasze ściany
Pulsują od cudzych nieszczęść
Ciemniej okna
Zewsząd słysząc chrobot
I stukanie

Nic dziwnego
Że w końcu
Chwytny cudze nieszczęścia
W obie dłonie
I dusimy
Bez litości
Dusimy

Korytarze

Już wszystko zjadłem i wypilem
Kochałem się ze wszystkimi kobietami
Wszystko poznałem przecierpiałem przeoczyłem
Zostały tylko nie napisane wiersze
Szpitalne korytarze
Którymi wracam od łóża swojej śmierci
Do sali gdzie się urodziłem

Dziura

Zjechał na sankach
I zabił go samochód
Leżał na ulicy
Przykryty tekturą
Spod której wystawały
Małe dziecinne buty

To było tak wyraźne
Jakby ktoś namalował
Olejnymi farbami
Śnieg powietrze i sanki
Ze sznurkiem jeszcze ciepłym
Od uścisku ręki

Były tam twarze ludzi
Z myszami zamiast ust i oczu
Głosy dorosłych i dzieci
Wplątywały się we włosy

Matka chwyciła mnie za rękę
I pociągnęła do domu
Nie wiedziała że wrywa
Ten obraz na zawsze

Została dziura
W niej
Nagi krwawy mięsień bytu
I zerwane ścięgna

Zapomnienie

Zdarza się
Że groby rosna

Niektóre w głąb
Zapuszczają korzenie
Inne w bok
Jak ruiny

Ale najczęściej groby
Wsiakają w ziemię
I porasta je
Bujne Zapomnienie

Bawią się w Jego szumie dzieci
Z płatków wróżą miłość zakochani
A my
Smarujemy swój chleb powszedni
Smutnym wyciągiem
Z przezroczystych łądyg

Pole

Liczyli dni do emerytury
Jak owce
Przed zaśnięciem
Pod koniec zamiast owiec
Szły siwe barany
O pogniecionych twarzach

Potem zostało tylko
Wyjedzone pole
Na którym już nic nie wyrośnie

Nad ranem

Z nie dojeżdżonym snem w ustach
Siedział na brzegu
Niedospanego łóżka
Nie założoną czarną skarpetkę
Trzymał w ręku

I poczuł nagle
Jak wiele
Minęło niepotrzebnych lat
Od chwili gdy się urodził
Zrozumiał daremność życia
Daremność wszelkich pragnień

A jednak włożył skarpetkę
Wstał
I heroicznie
Spiał guzikiem
Dwa poszarpane brzegi
Swojego życia

Głodne zwierzęta

Piszę o miłości
Chociaż nigdy naprawdę nie kochałem
I piszę o śmierci
Chociaż nigdy nie umierałem

Przychodzą często do mnie
Po cichu
Jak głodne zwierzęta
Ich oczy nabiegają krwią
I muszę im rzucać
Słowa
Lecz jak nakarmić słowem
Miłość i śmierć

Owoce

Nawet miłość
Można zerwać
Jak opatrunek
Wielkiej rany twarzy

I nawet ta rana
Da się zerwać

Zostanie krzyk

I nawet na nim
Wyrosną
Dziki owoc

Sięgać będą po nie
Nasze głodne dzieci

W kuchni

Żona zmywa naczynia
Krwionośne
Wyjmuje z zamrażalnika
Swoje serce
Uśmiecha się do nas boleśnie

Patrzę na swojego synka
Rysuje kredkami świat
Zaczyna od słońca
Człowiek rodzi się w męce
Wykrzywione nogi i twarz

A we mnie
Już od wielu lat
Pada śnieg
Zawalił okna i drzwi
Lecz przecież
Gdybym nawet mógł stąd wyjść
Nie uczyniłbym tego

Egzekucja

Jabłko pożera buzię dziecka
Widać już tylko oczy
Dwie czarne pestki

Oswajanie

Boi się tygrysa i smoka
I jak mu teraz powiedzieć
Że nie powinien
Bać się smoków i zwierząt
Tylko ludzi

Najpierw oswajamy tygrysa
Dajemy mu cukierka
A smok ucieka na widok
Szeleszczących papierków

O wiele trudniej jest z ludźmi
Skradają się uśmiechnięci
I głaszczą go po głowie
Rękami
Którymi jeszcze przed chwilą
Gwałcili i mordowali

Nie można ich oswoić
Są zbyt humanitarni

Więc lepiej niech się uczy
Życ jak oni

Nigdy mu nie wybaczą
Jeżeli będzie inny

Syn i ojciec

Nie podoba mu się tu
Patrzy na mnie z wyrzutem
I co ja mam robić
Przecież nie będę się usprawiedliwiać
Milczę tylko wymownie
A on przytula się do mnie
Jakby rozumiał
Że musimy się trzymać razem
I żyć zgodnie
Bo nie mamy niczego
Oprócz siebie

A po chwili
Bierzemy się obaj do pracy
On kolekcjonuje
Stare autobusowe bilety
A ja słowa
Z których strugam
Laski i szczudła

Zabawa

Gdy miałem tyle lat co on
Była za oknami wiosna
I stał jej wysoki zapach
Jak komin fabryki słodczy
Przedmioty i zwierzęta
Już nadaremno
Próbowaliśmy się ze mną porozumieć
Matka i ojciec
Kołysali się pod sufitem
Budowali ze słów
Rzeki i mosty
Z których oglądałem
Płynące statki

Mój syn ma cztery lata
Moja pamięć
Chce się z nim bawić
W chowanego i ciuciubabkę
Ale nie potrafi

Bawię się więc tylko
Z samym sobą
W zapominanie

Żołnierz i dzieci

Żołnierz stał na warcie
Pilnował oranżerii
Gdzie rosły krwawe kwiaty
Dla generałów i pułkowników

Do zimnych krat ogrodzenia
Przytuliły swoje policzki dzieci
Krzyczały
Bo zobaczyły biedronkę
Która szła
Po zielonej łące jego munduru
Obok serca
Zapiętego blaszanym guzikiem

Żołnierz milczał
Kołysał tylko na plecach
Łakome niemowlę
O długim czarnym gardle
I czułym języku

Łuski

Ich synek rósł w świecie
Którego nie przeczuli
W niezrozumiałym zimnym przeklętym
Gdy pytał o zmarłych
Mówili że nikt nie umiera
A w grobach tylko śpią ludzie
On jednak nie dał się oszukać
Zabijał pająki i mrówki
Śledził agonię motyla

Więc odetchnęli z ulgą
Kiedy przestał w końcu zadawać pytania
I sam wydłubywał odpowiedzi
Jak łuski z muru straceń

Bawił się nimi przez kilka lat
A potem wsadził do kieszeni
Zarzucił na ramię karabin
I poszedł na wojnę

Uchylone okno

Granica

Dni które nas dzielą
Są jak schody
Po których wbiegnę
Świeżym letnim popołudniem
Do jej domu
Usiądę przy stole
Naprzeciw
I pić będziemy złotą herbatę
Z dwóch czułych szklanek
A potem spróbuję
Jeżeli starczy mi odwagi
Przekroczyć zieloną granicę
Jej oczu i dojść
Aż do warg
Swoimi wargami
W pokoju gdzie przyczał się zegar
Koszula jej męża
Wisi ukrzyżowana na krześle
I rosną bezszelestnie kwiaty
Z szeroko otwartymi powiekami

Na smyczy

Dotknąłem jej uczucia

Przestraszone skuliło się
W żywy ciepły kłębek

Cofnąłem spłoszony rękę
I wtedy po chwili
Znowu uwybraźniły się
Jej biodra ręce
A włosy odsłoniły z szelestem
Twarz i oczy
Których powieki
Otwarły nowy pokój

Usiedliśmy tam zamyśleni
Jak na ławce w parku
Dwoje obcych ludzi
Trzymając dwie płcie
Na krótkiej skórzanej smyczy

Brwi

Dotknąłem
Pękniętą wargą
Jej ust
I nic się nie stało
Nie uderzyła mnie w twarz
Jej oczy nie zmieniły koloru
Tylko brwi
Uniosły się jak skrzydła ptaka
Który nie wie
Zostać
Czy odlecieć

Mgła

Godzina i miejsce spotkania
Zamykają przestrzeń
W głębi są drzwi
Za nimi krótki korytarz
Prowadzi prosto do twojej ręki
Którą mi podasz
Na powitanie
Dalej jest pokój
Którego jeszcze nie rozumiem
Stół przy którym jeszcze
Nie usiadłem
Mgła w kolorze twoich oczu
W której się gubię i miotam
Spadają z półek
Krucze i cenne przedmioty

Rzęsy

Nie wstydziła się pocałunków
Obnażonego westchnienia
Ale jego nagich oczu
Z bezwstydnymi rzęsami

Skrzydła

Przekroczyli po kryjomu granice
I znaleźli się niespodziewanie
W kraju gdzie słycać było
Szybki oddech drzew
Gdzie skóra zapalała się
Od dotyku
A słowa nikły w otchłani
Bezchmurnego nieba
Aż w końcu przybyli do stolicy
Zmęczeni wsparli głowy o rozgrzany bruk
Na placu przed średniowieczną katedrą
I patrzyli jak falują skrzydła gołębi

Czas

Śmiała się
Była wtedy podobna
Do mojej kuzynki
Która otruła się gazem

Położyła głowę na moim ramieniu
Spływały z szumem czarne włosy
Usta były łakome
I spragnione oczy
I myślałem przez chwilę
Że potrafię ją nasycić
Swoim głodem
Ale ujrzałem nagle śmierć
Tak szczelnie dopasowaną
Do jej twarzy
Że nie mogłem odkleić
Chociaż próbowałem

Patrzyła bezradnie
Ze zgubionym oddechem
Gdy wokół tężał syk czasu
Co ulatniał się kurkami
Które sama otworzyła
Przed laty

Podejrzliwość

Skąd ona wraca
I dlaczego się uśmiecha
Dlaczego patrzy
Jakby na kogoś czekała
Dlaczego umalowała dzisiaj oczy

Dlaczego usiadła wstała
Dlaczego mówi
Całuje mnie nagle

Połykam jej pocałunek
Złowrogą pastylkę
Na uspokojenie

Kochankowie

Poprzez deszcz
I miasto
Które uczepiło się dymów
I zawisło nad przepaścią
Jutrzejszego dnia

Poprzez czas
Który się zagęstnił
Wokół oczu i ust

Po wspomnieniach rozrzuconych
Jak kamyki na plaży
Biegli w milczeniu

A jednak było między nimi
Pełne porozumienie
Dosłowne jak szarża
Lekkiej brygady
Na obnażone wzgórza

Śnieg

Nie kochał jej
Stało się to nagle
W górach których nie było wczoraj
Na śniegu
Co spaść musiał w nocy

Nie wiedziała o niczym
Zapinała szybko różowy ranek
Na niebieskie guziki
Patrząc uważnie w lustro
Czarną kredką
Podkreślała swoją miłość

I wtedy
Przeszył ją ostry jak błysk noża
Odbity w szkle blask śniegu

Poczuła niepokój
Rozczesała go szybko
I jakby nigdy nie
Rozpłynęła się w czasie
Który minął

Kolce

Kiedy pocałowała go
Poczuł lęk
Że skaleczy się o kolce róż
Które dał dzisiaj
Innej kobiecie

Nie wiedziała nic o kwiatach
Ale czuła na jego wargach
Niepokój
O wilgotnych płatkach
W których jej pocałunek
Zanurzył się jak pszczoła
Z podejrzliwym żądłem

Wiatr

To nie były jej usta
I nie jej piersi
Tylko ten sam czas
Przepływał
Przez obcy pokój
Zabierał pocałunki
I urwane zdania
Z postrzępionymi brzegami

Wrócił do domu czysty
Jak fałszywa łza
A gdy podeszła do niego
Zaszumiało nagle milczenie
Drzewo
W które uderzył
Północny wiatr

Powrót niewiernego

Wyrzuty sumienia
Ciśnięte przez fale
Leżały na brzegu

Kaleczył sobie stopy
Biegąc pustą plażą
Ku portowi w zmierzchu

Gdzie na molo
Wbitym jak sztylet
W plecy morza
Jej suknia
Powiewała wybrzeżem

O niczym nie wiedziała
Ale wiedziały fale
Kamienie i niebo

Przytulił ją
A wtedy
Spłynął czerwienią
Biały krzyk
Mew

Wonie

Zapach pustych wnętrz
W których zagnieździło się życie
Mdła woń konieczności istnienia
Przesuwania mebli mycia okien
Oddawania kału i pieniędzy
Bezbarwny zapach czasu

A u nas
Szelest rosnącej miłości
Zakwita woń potu
I zapach twoich włosów
Wije się jak bluszcz

Gdy chyłkiem
Między łądygami rozkoszy
Przeciska się
Kosmaty żuk

* * *

Czuję jak czas płynie
Westchnęła

Usłyszałem go
Ocierał się o nas
Otwartymi brzegami

A na jej twarzy pięknej
Tak bliskiej
Jakbym sam ją rzeźbił latami
Dostrzegłem zmianę
Nieuchwytną
Jak początek jesieni

Stare małżeństwo

Siedzą na ławce w parku
Trzymają się za ręce
Rodzą oboje w bólu
Wspomnienie młodości

Pokój biały
Z powiewającą w przeciągu czasu
Zasłoną
Łóżko otwiera się z trudem
Jak stara małża
Leżą w nim nieruchomo
Dwa nagie posągi

A tu pałac odbija się czysto
W wodzie zapomnienia
Marszczy się gdy płyną łabędzie
Ich szyje
Znają teorię Einsteina
I zakrzywiają przestrzeń

Nagle
Posągi tulą się do siebie
Tylko ich pleć jest żywa
Miazga

Wiersze o zapominaniu

Na próżno

Zostawił tu skarpety koszule
Sweter który do dziś jest ciepły
I przeniósł się do najładniejszej
Warszawskiej dzielnicy

Mieszka tam obok Staffa
Leśmian z którym dawno się nie widział
Jest w zasięgu wzroku

Spadają z drzew kasztany
Jakby coś chciały
Lecz nie mogły powiedzieć
A ja na próżno noszę jego ciepły sweter
Jakbym nosił mu wodę
W nieszczelnych dłoniach
Bo chociaż jestem blisko
Nie mogę tam trafić
Fałszywe są aleje
I drzwi których nikt nie otwiera

Więc wracam do wierszy
W każdym pali się światło
Otwarte są okna
Siedzimy wszyscy razem w kuchni
Gotuje się woda na herbatę

O szyby uderzają gałęzie akacji
Jakby coś chciały
Lecz nie mogły powiedzieć

1983

Światła

Nie zrozumiałem jego śmierci
Jak zbyt ciemnego poematu
Nie przeczytałem jej do końca
Jak nie napisanego wiersza
I nie pojąłem jak pojąć nie można
Osiwiałej w pożarze książki

Lecz kiedy patrzę nocą
Widzę jak za ciemną okładką
Toczą się zwrotek wagony
W blasku wewnętrznych światła
Z tłumem zmęczonych znaczeń
W łoskocie kół w nieustannym
Zgiełku dialogów i w nagłym
Osunięciu się myśli na czoło
Przytrzymanej nagle ręką
Jak spadający uparcie na oczy
Kosmyk siwych włosów

1983

Pałac w Oborach

Na tym białym tarasie
Już nie siedzi mój ojciec
Przeoczył to staw z nieruchomą rzęsą
Nie słyszą tego głuche uszy łopianów
A przecież siedział tu
Na słonecznym tarasie
Z koroną siwych włosów
Z książką na kolanie
Zbliżam się do tego miejsca
Na palcach jakbym chciał zaskoczyć
Jego nieobecność i udowodnić
Że nie jest ostateczna
A przecież wiem że jeśli nawet
Ktoś otworzy tam drzwi
To tylko po to by rzec
– Nie ma –
I by dodać po chwili wahania
(Co on mawiał często)
– To wszystko nie ma sensu –
I co właśnie się unaocznia
Na białym tarasie z koroną drzew
Z promieniem słońca który rozcina
Ostatnią kartkę

1983

Pożegnanie

Co ja mogę o tym napisać
Nic w nic się nie układa
Tak wiele mówił i pisał o śmierci
A umarł nie wiedząc że umiera
Potem ktoś wrzucił jego nazwisko
Do rynsztoka gazety
Nie płynęło daleko
Potem jacyś ludzie dół wykopali
I dół zakopali
Jacyś ludzie nikomu nie znani
Nic w nic się nie układa
I tylko wiersze z za śmierci wystają
Jak skrzydła ptaków
Co nie zdążyły uciec przed burzą

1983

Nic

Zapominam o nim jakbym szedł
Nie wiadomo gdzie
Ulicami obcego miasta

Spotykam tam niespodziewanie
Swoj dom rodzinny
Z pachnącymi schodami
Z drewnianą poręczą

Gdy wydaję z półki jego książkę
Wylatuje z niej ptak i siada
Na granicy mojej wytrzymałości

W pobliżu budują nową dzielnicę
Z betonowych płyt budują
Ludzie o zamrożonych rękach

I czuję że strach jeży mi sierść
Bo jak zwykle w obliczu śmierci
Najbardziej przerażające jest to
Że prawie nic się nie stało

1983

Dym

Gdy szedłem dzisiaj
Obok murów więzienia
Nie czułem nic

Wybaczcie mi
Przecież wiecie że moje nic
Ma piwnice strych
I dym z komina

Ten dym widzicie
Patrząc przez blaszaną szczelinę
I nieba siniak
Na którym zakrzepł ptak

Niedobitki

Ziarenko

Kłamstwo zgnije

Prawda wyschnie
I w proch się rozsypie

Po wielkim polu chwastów
Toczyć się będzie bez sensu
Ziarenko piasku

Przebudzenie

Walą łbami o pręty
W ich oczach zapalają się miasta
Rzuć im na pożarcie
Swoich pierwszych chrześcijan
Wsadź piórko do gardła
Wyrzygasz swój Rzym
A Tybr przeklęty
Zmieni swoje koryto

Zasnęły ich łapy
I łby na łapach
Popiół i piasek
W zamkniętych ślepiach
Wysycha Rzym
Plama na kamiennej posadzce

Ta rzeka to Wisła
Obudź się
Kobieta którą kochałeś
Wróci w zerwanych fiołkach

W kolejce

Z nabrzmałym żylakiem Wisły
Stoi jak my wszyscy w kolejce

Ma nadal smutne wschodnie oczy
Dwie blizny na prawym policzku

I chociaż trzyma dziecko na ręku
Nikt jej nie przepuści

Na skrzyżowaniu

Jest złoty środek lata
Osy i pszczoły
Bawią się z pociskami w berka
Żandarmi SS-mani
Zwykli przechodnie i kozacy
Przenikają się jak cienie
Liści drzewa historii

Warszawska ulica w słońcu
Idą nią jak zwykle do pracy
Ludzie na śmierć

Ta ulica nie prowadzi
Do niczego więcej
Niż nieistnienie
Jest czysto
Uprzątnięto barykady i złudzenia
Pachnie zapomnieniem

Kamienne tablice
Nie przyciągają oczu
Bardziej gołębie
I czerwone światła na skrzyżowaniu
Azji i Europy

1979 r.

Odwrót

Armia Krajowa odchodzi
– Nie w boju –
Na raka
I wieńcowe choroby

Ci którzy ocaleli
Mają wypalone wnętrza
Tylko wspomnienia się tlą
W popiele

Z tego nie będzie ognia
I nie będzie ciepła

Z mrocznych gór
Pełźnie
Czerwony język
Lodowca

Dwie strony medalu

Plutony egzekucyjne
Mają serca nogi ręce
I sumienia
Pełne zakrzepłej krwi

Na rozkaz
Zamykają jedno oko
Drugie jest otwarte
Jak rana

Każdy z nas może stanąć
Z nimi w jednym szeregu
Lub naprzeciw
Z zawiązanymi rękami

Exodus

Szli w wielkim pośpiesznym pochodzie
Unosząc codzienny dobytek
Dzieci psy bieliznę
Skłóconą białą i niebieską porcelanę
Umierającego na cholere Mickiewicza
Z połączonym grzbietem
Kilka powstań złożonych na krzyż
I w końcu wspólne serce
Chory miesiąc
Na poplamionej poduszce
Szli w stronę roku dwutysięcznego
Ku jego szczytom w śniegu
Tam miała być szczelina

Nie było szczeliny
Tylko ściana zburzonego domu
Z framugą okna
I szli jacyś ludzie

Wtedy zobaczyli swoje plecy
Na ich plecach
Niesione pochyło jak krzyże

Milczenie

Oni już wszystko powiedzieli
Polscy poeci XIX wieku
Nam zostało tylko milczenie
Które wypełnimy treścią wymiotów